

tak piszą dzienniki wszelkich odcieni politycznych. On nowe drogi żelazne zbuduje, utworzy nowe instytucje finansowe, z bogaci Berlin, całe Prusy, może Niemcy całe. Tańczą też koło niego, hołd złotemu cielcowi składają. Czy tam kto nog nie połamie w owym tańcu, tego nie wiem, ale szyję dam w zakład, że Snovard ich nie złamie.

— Satyra gorzka, ale...

— Ale zasłużona? co?

— Nie jestem takim pesymistą. Nowe czasy rozwinęły nas ekonomicznie; wzrósł przemysł, handel, spętniały miasta, wzrosło polityczne znaczenie...

— Tak, tak. Rozrosło się ciało, ale dusza poszła spać. Wzrosła cywilizacja materyjalna, zanikła kultura duchowa. Jesteśmy jak Rzym przed upadkiem. „Angur śmieje się z angura“, a żyć i użyć, deptać i poniewierać słabszych, gdy się jest silnym; w miejsce Boga miłości, czcić złotego cielca i pałkę, oto wiara niemiecka dni naszych, zaszczepiona przez Prusy.

Zamilkł Rummel, zamyślił się Schwerdtner, aż westchnął lekko i rzekł smutnie:

— Może to i prawda!

— Ale co tam; my nie zmienimy tego, zmieni bicz Boży. Teraz jeszcze o tym panu Snovardzie. Otóż ten człowiek rzuca na giełdę krocie, ot, tak, dla zabicia czasu, pomiędzy śniadaniem i obiadem. Jednym posunięciem pióra tworzy fabryki, wzbogaca przemysł. Przerzuca milionami z taką swobodą, jak biegły gracz kartami za zielonym stolikiem. Jest mistrzem w poszukiwaniu złota... w cudzych kieszeniach.

— Zapewne zasłużył na zaufanie?

— Mają go za łotra, ale ufają jego szczęściu, jego sprytowi.

— Jakto, nawet ludzie tak poważni, jak baron?

— I baron. Potrzebuje opieki takiego potentata finansowego, więc... widziałeś pan, jak mu nadszkuje.

Istotnie. Baron ujął Snovarda pod rękę i z uszanowaniem, nawet z dumą, prowadził go w tę część salonu, gdzie dystyngowane panie usiadły. Schwerdtner przypatrzył się teraz królowi milionów.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, suchy, kościsty, wyprostowany, sztywny. Ruchy jego spokojne, wymierzone, miały w sobie coś mechanicznego. Sprawiał wrażenie poruszającego się na sprężynach manekina. Twarz starannie wygolona, pergaminowa, miała rysy, jakby z kamienia wykute. Oczy patrzyły zimno, spokojnie, przenikliwie; na ustach igrał uśmiech pogardliwy. Wyglądał na człowieka, liczącego około pięćdziesięciu lat życia, ale taka to była twarz zasuszonej, iż można by sądzić, iż przez lat dziesięć nie zmieniła się wcale i że się nie zmieni po dziesięciu latach. Ubrany był Snovard w czarny frak, bez żadnych orderów, wstążeczek i tem się różnił od tych, co go otaczali.

Schwerdtner doznał wrażenia wprost wstrętne-go na widok tego człowieka.

— Jakże się panu podoba? — zapytał Rummel.

— Ten człowiek tak wygląda, jakby miał serce z piersi wyprute — rzekł Schwerdtner ze smutkiem i odrzą.

— Takich tu znajdzie się wielu, tylko że Snovard ma wyprute serce, a inni wyprute mózgi. No, chodźmy doktorze, przypatrujmy się temu tłumowi, co ma pierś wykutą nie przez Fidiusza.

Przesuwali się z wolna, patrząc na falę mundurów i fraków, świecących orderami, na wykwiłtne, brylantami nasiewane kobiety. Wszędzie uśmiechy zadowolenia, może kłamanego; wszędzie pogoda lub wesołość na twarzy, choćby tam w głębi duszy wił się robak smutku. Salon! Tyle eleganci, tyle wykwiłtu, tyle bogactwa, tyle słodkiej uprzejmości! A czy poza tem jest prawda i szczerść? Salon powinien być najwonnieszym kwiatem kultury; tem być powinien, to mu się należy, a czy nim był istotnie salon barona Ellericha?

Takie spostrzeżenia i myśli snuły się po głowie Schwerdtnera. Rummel zburzył mu ideały; co sobie wyobrażał, w co wierzył, to mu się wy-

dało teraz złudzeniem. Z zamyślenia wyrwał go Rummel.

— Baronówna Elwira promienieje, króluje — patrz pan na prawo — rzekł Rummel. Widzisz doktorze, jak do niej ciśnie się tłum i starych i młodych. Ile to sypie się w tej chwili nieszczerych słów pochlebstw i uwielbienia. Tak wypada, nie prawda? Za przyjęcie, za obfity bufet trzeba się wywdzięczyć. Czy pan nie przysunie się do niej? Wszakże należałoby zbliżyć się i także jaki komplement powiedzieć.

— Nie umiem tego i zapewne nie prędko się nauczę.

Tak powiedział, ale spojrzał z zaciekawieniem na baronównę. Uśmiechnięta była i zadowolona, tryumfująca. Na ten widok doznał przykrego wrażenia, a nie umiał sobie wytłumaczyć, skąd ono właściwie się wzięło. Zamajaczyły mu się po głowie wspomnienia z lat chłopięcych, czytana bajka o czarowanej księżniczce, powóz, w którym baronowa z uroczym dziewczętkiem jechała.

Nie kontent z samego siebie, chciał się zwró-

przez korzystne operacje finansowe. Do tego trzeba mu poparcia bankierów, dygnitarzy różnych instytucji finansowych. To rzecz zupełnie jasna i powszechnie znana, boć tak zawsze czynić muszą ministrowie skarbu. Dawniej miewał z baronem Ellerichem stosunki wcale chłodne, ale od owego czasu, kiedy baron został prezydentem rady nadzorczej banku krajowego, stosunki te zmieniły się zupełnie i teraz jego ekscelencja, pan minister skarbu jest wielkim przyjacielem barona.

— Jakto? Więc i baron Ellerich bierze udział w operacjach finansowych?

— Zdaje mi się kochany doktorze, że pan do Berlina spadł wprost z księżycy. Baron nie tylko bierze udział w operacjach finansowych, ale niekiedy nawet nimi kieruje, chociaż tylko według rozkazów Snovarda. Ale, ale. Spójrz no pan na lewo. Widzisz pan tego człowieka małego, grubego, z nogami wygiętymi? Niepozorny człowieczek, prawda?

A to panie milioner, potentat tak wielki, że nawet Snovard z nim się musi liczyć. Miał on wprowadzić różne kłopoty sądowe; coś tam mówiono o jakich nieporozumieniach, które my w codziennym życiu oszustwem nazywamy, ale w języku milionerów nazywa się to tylko nieporozumieniem. No i nieporozumienie się wyjaśniło, sąd zaniechał sprawy, a tylko złośliwcy ośmielali się pokątnie wykrzykiwać. Tak, tak panie. Dzisiejszy wieczór to przyjęcie w świetnych, lśniących salonach, jest nabożeństwem do złotego cielca.

Te szyderstwa zaczęły już męczyć Schwerdtnera. Uczuł niesmak, a nawet żal powziął do tego człowieka, co go tak dręczył złośliwym pesymizmem.

Kłębiło mu się w głowie, pragnął chwili spokoju, żeby zebrać myśli i bez uprzedzeń zdać sobie sprawę z tego, co tu widział, co się tu działo. To też ucieszył się bardzo, gdy Rummel zagadał jakiś jego znajomy i zatrzymał przy sobie. Skorzystawszy z tego, wysunął się prędko do bocznej sali. Ale i tu natłoczono było i gwaro, więc przeszedł do następnego apartamentu, oddzielonego ciężką, aksamitną portyera. Na swoje szczęście nie zastał tu nikogo. Były tam stoliki do gry przygotowane, za którymi nikt jeszcze nie siedział.

Schwerdtner odetchnął prawdziwie, a znużony rzucił się na sofę, w kącie stojącą, i w spokoju pragnął zebrać myśli.

Z przyległych salonów dołatywał gwar rozmów, niby szum wodospadu, niby turkot kół. Doktor przywykł wcześniej zasypiać, senny był teraz i postanowił czempredzej do łóżka się położyć. Ale na tej sofie tak mu było wygodnie, że jeszcze chwilę chciał odpoczywać, zanim pójdzie do swego pokoju. Gwar, dołatający jego uszu, zaczął go usypiać. Nie zasnął wprawdzie zupełnie, ale w półsennym za-

tonał w rozmarzeniu i zaczęły mu się nasuwać świeże wspomnienia, zaczęły się odnawiać wrażenia dni ostatnich i dzisiejszego wieczora. Nagle wśród gwaru rozmów usłyszał głos, który go od razu rozbudził. Zerwał się ze sofy, nadłuchuje, ale już ten głos utonął w gwarze. Dziwne przywidzenie. Zdawało mu się, że to głos mordercy Dobla, owego towarzysza podróży, co twarz tak starannie osłaniał.

— Ot, przywidzenie — rzekł sam do siebie. Cóż znowu? Skądby się tu wziął morderca wśród milionerów i wszelakich dostojników.

Chociaż taka mu się nasunęła refleksja, przecież rozsunał portyera i spojrzał do pokoju, z którego ten głos go doleciał. Stał tam baron Ellerich i rozmawiał ze Snovardem, a obok była gromadka bardzo poważnych i niemłodych mężczyzn. Zobaczywszy to uspokoił się zupełnie i śmiał się w duszy ze swoich przywidzeń.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Baron ujął Snovarda pod rękę i z uszanowaniem poprowadził.

ciąć w inną stronę, gdy właśnie przecisnął się do Elwiry baron Ellerich, idący pod ramię ze Snovardem.

Snovard widać coś bardzo miłego jej powiedział, bo uśmiechnęła się do niego z takim wdziękiem i zadowoleniem, jak przedtem do nikogo. I to Schwerdtnera znowu dotknęło. Ta zaklęta księżniczka z bajki wdzięczy się nie do jakiegoś uroczego królewicza, tylko do bankiera.

— Że piękna z niej kobieta, to wątpliwości nie ulega — szepnął mu za plecyma Rummel — ale zdaje mi się, że u niej serce z marmuru. Nie ma mężczyzny, któryby bez wrażenia patrzył na jej uroczy uśmiech, ale też niema takiego, któryby mógł spodziewać się, że jej miłość zdobędzie.

W tej chwili nowy ruch w salonie. Mężczyźni cisną się ku drzwiom głównego wejścia, z przyległych salonów spieszą również. Schwerdtner nie oglądając się na towarzysza, machinalnie ku drzwiom się posunął, a Rummel za nim pospieszył. U wejścia witano jakiegoś nowego przybysza.

— To minister skarbu — szepnął Rummel.

— Okazała postać.

— O, tak! i rozum okazały. Stanowisko jego było nieco zachwiane, więc postanowił je utrwalić